

Rozdział I

Altair kroczył między głośnymi Arianami zgromadzonymi na Placu Centralnym w Hamestaganie. Minął pomnik doktora Aziza i skierował się ku ustawionemu na skraju rynku podium. Wchodząc po jego stopniach, dostrzegł Abdula Al-Alego, oglądającego obchody równonocy wiosennej z wysokości tarasu jednej ze swoich kamienic — tej samej, w której niemal półtora roku temu kapłan poznał jego syna Aszrafa. Ubrany w białą szatę polityk popijał wino ze zdobionego drogimi klejnotami złotego kielicha. Na jego twarzy gościł uśmiech zadowolenia. Altair Wiedział, skąd się tam wziął.

Stanąwszy na podium i podniósłszy ręce celem uciszenia rozentuzjasmowanego tłumu, duchowny rozpoczął przemowę:

— Dziś mija dokładnie siedemset dziewięćdziesiąt pięć lat od kiedy Jedyny objawił się Prorokowi i powołał go do swojej służby. Do tamtej chwili Prorok był kupcem i, jak sam o sobie mówił, *pozostawał sługą pieniądza*, nie raz oszukując swoich klientów oraz partnerów i nie widząc większej wartości nad posiadanie dobytku. Po objawieniu jednak całkowicie odmienił swoje życie. Część zgromadzonego bogactwa oddał tym, do których los się nie uśmiechnął, a część przeznaczył na głoszenie słowa Jedyne. Z początku nie odnosił sukcesów, wiara w dżiny była zbyt głęboko zakorzeniona na naszych ziemiach, a i Imperium nie podobało się, że w jej południowej prowincji ktoś wyznawał innych bogów niż Czwórkę. Musiał nawet opuścić Kulhor w obawie o własne życie. Przez pierwszych sześć lat nauczania zgromadził ledwie czterdziestu wyznawców. To około jednej przekonanej osoby na dwa miesiące działalności. Niewiele, prawda? Zwłaszcza patrząc na liczbę zgromadzonych na tym placu. Tylko tutaj jest nas ponad dwadzieścia razy więcej.

Uśmiechnął się i zrobił wymowną pauzę.

— Ale Prorok się nie poddawał. Cierpliwie jeździł po kraju i zapoznawał ludzi z naukami Jedyne. Dzień po dniu stawał w jakimś zatłoczonym miejscu i od świtu do zmierzchu głosił jego mądrość. Nieliczni towarzysze spisywali wtedy jego słowa na liściach palmowych, kawałkach niepotrzebnych resztek skór czy tkaninach znoszonych szat. Musieli oszczędzać pieniądze, które powoli się kończyły. W siódmym roku podróży nastąpił jednak przełom. Liczba wiernych wzrosła nagle do tysiąca. W kolejnym roku potroiła się, a cztery lata później, gdy Prorok wrócił do Kulhoru, witały go już tłumy wyznawców. Nawet rządzący Imperium konsulowie nie wazyli się podnieść na niego ręki.

Zawiesiwszy głos, powiódł wzrokiem po twarzach zgromadzonych. Widział na nich fascynację i dumę. Zadowolony, kontynuował:

— Wszystko zaczęło się od objawienia jednego człowieka, który dzięki łasce Jedyne wyjawiał nam prawdę o otaczającym nas świecie. Wielkie rzeczy mają zwykle niepozorne początki. — Zrobił krótką pauzę. — Dzisiejszej nocy i ja doznałem objawienia.

Po tłumie przepłynęła fala zaskoczonych westchnień i podziwu.

— Co wyjawiał ci Jedyny? — padło skądś pytanie.

— Jak mamy postępować? — zastanawiali się zgromadzeni.

Altair gestami rąk uciszył podnieconych wiernych.

— Tak jak mówiłem, wszystko zaczęło się od objawienia jednego człowieka. Zawsze zaczyna się od jednego człowieka. Dlatego zaczniście od siebie. Postępujcie zgodnie z naukami Jedyne. On wszystko widzi i każdemu wymierzy, co mu należne. Życie najlepiej jak potrafcie na chwałę Jedyne, bowiem już dziś zaczyna się nowa era nie tylko dla nas, ale dla całej Valeny i reszty świata. Z początku może na to nie wyglądać, ale ufajcie mądrości Jedyne i pozostawajcie mu wierni, a czeka was nagroda.

Na placu zaległa głucha cisza. Nawet trzymane przez matki niemowlęta, zwykle płaczące lub śmiejące się, zdawały się czuć podniosłość tej chwili.

— Niech żyje Altair! — zakrzyknął ktoś.

— Niech żyje! — podchwycił tłum. — Al-ta-ir! Al-ta-ir! Al-ta-ir!

Kapłan odwrócił się i spojrzał na Abdula Al-Alego. W jego oczach dostrzegł strach. Gdyby tylko chciał, mógłby nakazać wiernym zabić polityka, rozszarpać go na strzępy gołymi rękami, a oni by go posłuchali. Jego osobista zemsta wypełniłaby się. Haruba mogliby spoczywać w spokoju.

Ale nie zrobi tego. Jedyny miał dla niego inne plany. Nie po to pomógł mu na nowo obudzić wiarę w Arianach, by duchowny wykorzystał ją do osobistych celów. Spojrzał z powrotem na skandujący jego imię tłum, a potem w niemal bezchmurne niebo. Na jego błękitnym tle łatwo dostrzegł lecącego majestatycznie dużego, brązowego orła. „Już czas” — pomyślał.

Postąpił dwa kroki naprzód. Zszedł z podwyższenia i począł błogosławić wiernych, którzy stawali mu na drodze. Każdy chciał z nim zamienić kilka słów, dotknąć go lub chociaż znaleźć się w jego pobliżu. Matki podsuwały mu dzieci, by na nie spojrzał. Chorzy pokazywali rany, jakby to w jakiś sposób mogło pomóc w ich leczeniu. Wszyscy bez wyjątku patrzyli na niego jak na uosobienie Jedyne.

Niespiesznie szedł przed siebie. Nie zastanawiał się, w którym kierunku podążać, nogi same niosły go na spotkanie przeznaczenia. Wkrótce go zobaczył. Młodego mężczyznę o twarzy dziecka. Od razu wiedział, że to on. Skierował się w jego stronę. Jeden krok, drugi, trzeci... Gdy dzieliło ich już tylko kilka metrów, dostrzegł, że chłopak sięga po coś do wewnętrznej kieszeni szaty. Po chwili promienie słońca odbiły się od ostrza trzymanego przez niego kuchennego noża. Skupieni na kapłanie wierni nie dostrzegli zagrożenia, a zdeterminowany Altair parł przed siebie. Znalazłszy się oko w oko z chłopakiem, przyjacielskim gestem położył mu dłoń na ramieniu.

— Czyń wolę Jedyne — rzekł spokojnym głosem.

Twarz chłopaka przybrała zdziwiony wyraz. Wahał się drobną cząstkę sekundy, po czym z całej siły wepchnął nóż w brzuch duchownego.

— Za mój kubek! — Wyjął ostrze i dźgnął jeszcze raz. — Za moją palmę! — Altair kaszlnął krwią, a on zadał następny cios. — Za ogród! Za jedzenie! Za wszystko! — Zadawał kolejne sztychy, zalewając się łzami.

Rozległ się pełen przerażenia pisk jakiejś kobiety. Kilka osób zaczęło uciekać. Zanim zszokowani wierni zdążyli rozeznaczyć się w sytuacji, duchowny leżał już na kamieniach rynku. Jego krwistoczerwona szata szybko zmieniała odcień na brunatny. Klatka piersiowa z każdym oddechem unosiła się coraz niżej. Wkrótce Altair po raz ostatni zamknął oczy.

Aszraf stracił swojego mistrza z oczu, gdy ten zszedł z podium. Stojąc na skraju rynku i nie mogąc się pochwalić nawet średnim wzrostem, mógł tylko słuchać rozentuzjasmowanego tłumu. Altair miał dar przemawiania do ludzi. Aszraf wątpił, by kiedyś zdołał mu w tej materii dorównać. Cieszył się, że nauczycielowi szło tak dobrze, że ludzie odnawiają swoją więź z Jedynym i że będzie to udane święto. Z szerokim uśmiechem na ustach podszedł do pobliskich stołów zastawionych przykrytymi chustami ciastami. Nie mógł się doczekać degustacji. Wydobywający się spod płótna zapach owoców kusił jego nozdrza, pobudzał zmysły i wyobraźnię. Rozejrzał się dookoła. Wszyscy starali się wypatrzyć w tłumie Altaira, nikt nie pilnował wypieków. „Tylko powącham, na razie nie będę jadł” — pomyślał, unosząc w górę jedną z chust.

Nie zdążył się nawet dobrze zaciągnąć jego cytrynową wonią, gdy usłyszał głośniejszy kobiecy pisk. Puścił przykrycie i spojrzał na tłum. Zapanowało w nim poruszenie, ale nie takie

jak przed chwilą, pełne uniesienia i nadziei, lecz wypełnione niepewnością i strachem. Od razu zdał sobie sprawę, że stało się coś złego. Ruszył zdecydowanie w kierunku największego zamieszania. Dzięki filigranowemu ciału szybko przeciskał się między zgromadzonymi i już po kilkunastu sekundach dotarł do miejsca, w którym tłum się rozstał, ukazując leżącego w kałuży krwi nauczyciela. Słyszał podniesione krzyki wiernych: *zabić go, zamordował Altaira*; kątem oka dostrzegł kościelnych gwardzistów eskortujących kogoś przez tłum, nie zwracał jednak na to wszystko uwagi. Dla niego liczył się tylko nauczyciel, jego przyjaciel, ostoja i wzór do naśladowania.

— Mistrzu, mistrzu! — Złapał go za twardą, bezwładną dłoń. — Mistrzu, co z tobą? Nie śpij, otwórz oczy. Mistrzu, proszę, nie rób mi tego, mam tylko ciebie.

Jego zawroźnienie słysząc było jeszcze długie minuty po tym, jak Altair wydał z siebie ostatnie tchnienie.

Abdul Al-Ali słuchał lamentów swojego syna. Uśmiech dawno spętał z jego twarzy, a z każdym kolejnym słowem Aszrafa rosła w nim wściekłość i nienawiść do zamordowanego oponenta. „Jak on może tak reagować na śmierć Altaira? I co to znaczy, że *nie ma nikogo oprócz niego*? Przecież to ja jestem jego ojcem”. Oddychał ciężko i coraz szybciej. Z frustracją cisnął złotym kielichem o bogato zdobioną posadzkę tarasu, rozlewając po niej wino. Czarnoskóry niewolnik wyrżał zaniepokojonym wzrokiem na dach.

— Co się gapisz?! Jazda z powrotem do środka! — warknął polityk, po czym energicznym krokiem zaczął chodzić po tarasie.

„Powinienem go zabić wcześniej — myślał. — Za długo zwlekałem. Już po wizycie Aszrafa mogłem się domyślić, że jego wpływ na mojego syna jest za duży. Trzeba było wejść do tej rezydencji, którą mu postawiłem, i zarżnąć go od razu”. Gdyby tylko było to możliwe, z nosa i ust premiera Ariany buchałaby gorąca para, tak bardzo kipiał w środku.

Był jednak wytrawnym politykiem i po dłuższej chwili rozsądek wziął w nim górę nad emocjami. Zaczął myśleć racjonalnie. „Nie, oczywiście nie mogłem tego zrobić. By Ariana nie pogrążyła się w wojnie domowej i mogła rozkwić, musiałem to załatwić w ten sposób. Nie dało się wcześniej ani inaczej. Tak, to było jedyne wyjście. A sytuację z Aszrafem jeszcze zdołałem uratować. Bez tego szkodnika odzyskam jego zaufanie. Znowu będzie Al-Alim, a nie jakimś sługą Jedyne. Tak, z czasem wszystko naprawię. Na razie jednak muszę się zająć wyborem nowego przywódcy Kościoła. Mój kandydat musi wygrać, tylko w ten sposób Aszraf zostanie kolejnym mistrzem”.

Oddychał już wolniej. Podniósł z posadzki złoty kielich i postawił go na stoliku obok butelki wina. Nie potrafił się jednak w pełni rozluźnić, roznoszący się echem po całym placu płacz syna nie dawał mu spokoju. Zatkawszy sobie uszy palcami, szedł po schodach do cichego wnętrza kamienicy.

Tariński dowódca wydał rozkaz rozpoczęcia mordowania. Dwie grupy uzbrojonych w kusze, miecze i sztylety mężczyzn wkroczyły do jaskini zamieszanej przez byłych członków zgromadzenia Bezimiennego. Zlustrowawszy pierwsze, puste, przestronne i słabo oświetlone pomieszczenie, zatrzymali się i chwycili za przytroczone do pasów pochodnie. Zapaliwszy je, zdecydowanym krokiem ruszyli w głąb groty. Wrzucali żagwie do kolejnych sal, cierpliwie i szczegółowo sprawdzając ich wnętrza, w każdej chwili gotowi do pozbawienia gospodarzy życia.

Przewodzący oddziałowi oficer został z tyłu, uważnie przyglądając się sprawdzonym już izbom. Po pierwszych dwóch, w których znalazł tylko pustą szafkę i dwa krzesła, domyślił się, co zastanie w kolejnych, usiadł więc na siedzisku i czekał na raport podkomendnych.

— Ani żywej duszy — zameldował po kilku minutach jeden z jego dziesiętników. — Ściany oczywiście dokładnie sprawdziliśmy, żadnych sekretnych przejść.

Dowódca splótł palce z tyłu głowy i głośno westchnął.

— Król nie będzie zadowolony. Dobrze, że do Ver Tar daleka droga. Może zanim tam dotrzemy, trochę mu przejdzie.

— Nie powinniśmy przeszukać klifów w poszukiwaniu innych kryjówek? — podsunął dziesiętnik.

— Wiesz, dokąd się ciągną na zachodzie? — spytał nieco poirytowany oficer. — Do samego Morza Wielorybiego, to ponad pół tysiąca kilometrów, a potem jeszcze ponad dwieście na północ. Poza tym to nie nasza sprawa. Zwiadowcy się tym zajęli i moim zdaniem żadnej nie przeoczyli. To przecież szóstą, jaką sprawdzaliśmy i w każdej zastaliśmy to samo: puste meble, trochę niepotrzebnych rupieci, stare ubrania... Nie, oni uciekli stąd kilka tygodni temu, spójrz na kurz na meblach. Wracamy do Veles, trzeba wysłać list do króla.

— Tak jest. — Dziesiętnik skinął głową i oddalił się sprężystym krokiem.

„Tylko gdzie teraz mogą być?” — dumiał dowódca. Wolał nie wracać do domu tylko po to, by za kilka dni wyruszać z powrotem do Kadras, jeśli jednak się znajdą. „Zobaczymy, co postanowi król. Może dłużej zabawimy w Veles. W sumie nie jest tu tak źle. Żołd dostajemy, mamy gdzie spać. Żeby jeszcze ćwiczenia dało się prowadzić w normalnych warunkach... Cóż, najwyraźniej nie można mieć wszystkiego”.

Leniwie wstał z krzesła i zastanawiając się, gdzie rzuci go los, skierował się do wyjścia.

— Za długo zwlekaliśmy z wyniesieniem się z jaskiń — stwierdził niepewnym tonem powożący bryczką Rewit — Tarińczycy mogą nam deptać po piętach.

— Znowu zaczynasz? — spytał żartobliwie siedzący obok niego Menalis. — Jeśli do tej pory nas nie dogonili, to chyba możemy założyć, że jednak się mylisz, prawda?

Mężczyzna zwany niegdyś dziewiętnastym spojrzał za siebie. Nie dostrzegł jednak nikogo poza siedzącymi na dwóch wozach Attanem i Renisem.

— Daj spokój — zganił go Menalis. — Jeszcze kilka kilometrów i będziemy na miejscu.

— I tak uważam, że niepotrzebnie ryzykowaliśmy, pozostając tam tak długo — powiedział nieco spokojniejszym tonem Rewit.

— Inaczej nie zdołalibyśmy wywieźć wszystkich potrzebnych nam rzeczy — oponował najmłodszy z członków stowarzyszenia. — Przecież wiesz, jak Attan kocha stare manuskrypty. No i zabraliśmy całe złoto. Pomyśl tylko, tam wszystko już na nas czeka: opłacona na dwa lata z góry kamienica ze sklepem i rozległą piwnicą, skrzynie ze sprzętem laboratoryjnym, najlepsze meble, a do tego wszystkie rozrywki i szanse wielkiego miasta.

— Ty się cieszysz, bo tam będziesz miał w końcu szansę sprzedać swoje sztuki, ale ja uważam, że powinniśmy zaszyć się gdzieś, gdzie codziennie nie spotyka się tylu ludzi.

— Trudno odmówić ci racji, choć z drugiej strony najciemniej jest pod latarnią. Poza tym jeśli gdzieś będziemy bezpieczni przed zemstą Olana Bardego, to tylko tam.

Rewit nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że przyjaciel miał słuszość. Jeszcze raz spojrzał za siebie, po czym popędził ciągnące wóz konie.

Wkrótce wyrosła przed nimi zaporą na Aminie i wysokie na piętnaście metrów mury Tamiru.

— Zdrada, najjaśniejsza pani! Zdrada! — oznajmił brannejski posłaniec.

— Co ty opowiadasz!? — zdziwiła się Felicia. — Kto!? Gdzie!?

— Talmurczycy, najjaśniejsza pani. Wkroczyli do Cezariny.

Wśród otaczających ją żołnierzy zapanowało poruszenie. Większość z nich pochodziła ze stolicy kraju lub z jej okolic. Nawet spokojny zwykle Bantas zdradzał oznaki podenerwowania.

Córka Meridiusa spojrzała na generała Wąsacza. Oboje zdawali sobie sprawę, w jak trudnym położeniu się znaleźli. Kadras przed nimi, Talmur za nimi, na flankach i w stolicy.

— Musimy maszerować do Cezariny — stwierdził wojskowy. — Jeśli wyruszymy od razu, może wymkniemy się talmurskim kleszczom. Za dwa dni będziemy na miejscu. Zamek jest dobrze ufortyfikowany, utrzyma się do tej pory.

Felicia zbliżyła się do dowódcy.

— A Nidas? — spytała ściszym głosem. — Walczy teraz w tym lesie. — Wskazała na wierzchołki sosen.

— Najjaśniejsza pani, liczy się każda sekunda. Musimy cię chronić i wracać do Cezariny. Po najjaśniejszego pana pošlemy niewielki konny oddział. Wydostaną go i dołączą do nas — wyszeptał jej konfidencjonalnie do ucha.

Nie podobało jej się zaproponowane przez generała rozwiązanie. Talmurczycy zapewne przygotowali podstęp z taką dbałością o szczegóły, że szanse na wymanewrowanie ich były znikome. Od Cezariny dzieliło ich sto pięćdziesiąt kilometrów pól, lasów i źle utrzymanych brannejskich dróg. Nawet jeśli piechota jakoś dotarłaby do stolicy w dwa dni, to co z taborem? Musieliby go zostawić, a jak walczyć bez zapasów? Nie, odsiecz Cezariny nie wchodziła w grę.

Mogli również zostać tutaj, połączyć się z siłami Nidasa i wspólnie stawić czoło okrążającym ich najeźdźcom. Tylko co by to dało? Większość żołnierzy zginęłaby, walcząc za straconą sprawę. „Jak mogłam dać się tak podejść Pilistarowi? — wyrzucała sobie. — Omamił mnie swoim urokiem? Przekonał życzliwością? Chyba nie. Więc może po prostu jestem słabą, głupią władczynią, nie znającą się na ludziach?”

— Najjaśniejsza pani? — wyrwał ją z zamyślenia Wąsacz.

Spojrzała mu w oczy. „Jest jeszcze jedna możliwość — pomyślała. — Jedna szansa, by ocalić zebranych tutaj mężczyzn i Cezarinę”.

— Musimy działać szybko — nalegał oficer. — Wydam rozkaz wymarszu.

— Nie. — Pokręciła głową.

— Najjaśniejsza pani, umawialiśmy się. Podczas wojny ja miałem decydować o strategii — podniósł nieco głos.

— Zgadza się. Ale nie jesteśmy już w stanie wojny.

Nidas stał na zalesionym pagórku i obserwował bór. Na razie było spokojnie, chłodny wietrzyk niósł słodki zapach igieł i szyszek, a ptaki śpiewały w koronach drzew. Mimo to spodziewał się, że lada chwila spomiędzy jodeł i świerków wyjdą żołnierze w zielonych tunikach z białym orłem na piersi.

Rzeczywistość okazała się inna niż jego oczekiwania. Nagle ptaki poderwały się do lotu. Usłyszał trzask łamanych gałęzi. Potem ziemia zaczęła się trząść i dudnić.

Podenerwowani żołnierze jego osobistej eskorty wymienili niepewne spojrzenia.

„Powinienem rozbudzić ich ducha walki” — pomyślał monarcha i mimo że sam się bał, zakrzyknął:

— Nie lękajcie się. — Głos załamał mu się trochę, więc odchrząknął i spróbował ponownie. — Nie lękajcie się. — Teraz poszło mu lepiej. Miał nadzieję, że słyszy go chociaż piąta część z jego pięciu tysięcy ludzi. — Może ich być wiele — dudnienie wzmagало się — ale to zwykli rekruci, których Constantin wysłał na śmierć. Nie zależy im na jego wojnie. My za to jesteśmy u siebie, walczymy za nasze żony, matki, synów i córki, za ich przyszłość. Pomyślcie, jaki los ich czeka, jeśli ich zawiedziemy. Szybka śmierć na polu bitwy to błogosławieństwo w

porównaniu do tego, przez co oni będą musieli przejść. Dlatego nie możemy przegrać. — Rozejrzał się po twarzach podkomendnych. Nie dostrzegł w nich strachu, a raczej rodzącą się powoli determinację. — Oni myślą o nas, duchem wszyscy są tu teraz z nami. Dlatego kiedy między tymi drzewami pojawi się pierwszy Kadryjczyk, pozdrówcie go ich miłością i wbijcie mu miecz pod żebra!

W brannejskich szeregach podniosły się bojowe okrzyki. W samą porę, spomiędzy drzew, kilkanaście metrów od obrońców, wyszły pierwsze linie Kadryjczyków. Zadowolony, że bezbłędnie wygłosił przygotowaną przez Felicię mowę, Nidas zdążył jeszcze dorzucić *Za Branne!* zanim drewniane tarcze wojskowych obu stron zderzyły się ze sobą.

Z początku nie działo się wiele. Obie armie starały się odpychać przeciwnika i zadawać oportunistyczne ciosy włóczniami i mieczami. Zginęło tylko kilku żołnierzy obu stron, kilkudziesięciu odniosło bardziej lub mniej groźne rany. Wkrótce jednak ciągnące się na dobre pół kilometra linie zaczęły się przesuwac i łamać. Wojskowi wpadali na drzewa, tworząc wyłomy. Do bitwy wdarł się chaos. Kadryjscy dziesiętnicy i setnicy starali się odbudowywać linie, ale rzeźba terenu i gęsto rosnące drzewa utrudniały im zadanie. Widząc problemy przeciwnika, podbudowani mową Nidas Brannejczycy uderzali w luki, powiększając je i wdzierając się w szeregi Kadryjczyków. Szala zwycięstwa wydawała się przechylać na stronę obrońców.

Niedoświadczeni brannejscy dziesiętnicy i setnicy nie zauważyli jednak, iż posuwając się zbyt szybko na środku swych linii, zostawiali flanki z tyłu, tworząc w ten sposób przestrzeń do penetracji dla najeźdźców (na ich usprawiedliwienie należy dodać, że drzewa bardzo ograniczały im widoczność). Dobrze wyposażony i zaprawiony w bojach oddział kadryjskich weteranów wbił się w niebroniony kawałek boru i zaszedł obrońców od tyłu. Rozpoczęła się rzeź okrążonych oddziałów. Krzyki cierpienia poniosły się nad lasem. W odwecie Brannejczycy starali się uderzyć na odsłonięte tyły kadryjskich weteranów, ale ci w porę poradzili sobie z wymordowaniem ich kompanów i byli gotowi do obrony. Co gorsza, do bitwy zaczęły się włączać lepiej wyszkolone i wyposażone oddziały najeźdźców, które do tej pory wypoczywały w tylnych szeregach. Po kwadransie brannejscy żołnierze zostali wyparci ze zdobytego terenu i cofnęli się na swoje pierwotne pozycje.

Zauważywszy, że jego pierwsze linie walczą ostatkami sił, Nidas kazał włączyć się do bitwy pozostającym do tej pory w odwodzie piechurów. Niestety połamana brannejska linia, gęsto rosnące drzewa i zgiełk panujący w lesie uniemożliwiły poprawne wykonanie manewru. Żołnierze nie wiedzieli, którędy mają się wycofywać; zderzali się z własnymi kompanami, tworząc wyrwy w szeregach. To, co miało działać na korzyść obrońców, dzięki doświadczeniu i lepszemu wyszkoleniu kadryjskich oficerów, stało się kluczem do porażki Branne. Widząc przed sobą stosy trupów w niebiesko-czarno-zielonych tunikach i szybko posuwających się do przodu napastników, Nidas stracił pewność siebie. Przełknął ślinę i oblizał suche wargi. Chciał wydać rozkaz odwrotu, ale język go nie słuchał, zamieniając się w sztywny kawałek mięsa utrudniający tylko oddychanie. Serce zaczęło mu walić z prędkością cwałującego konia. Oblał go zimny dreszcz, a po prawej nodze spłynął mu ciepły mocz.

„Ale hańba, potomek wielkich Haranidów złał się...” — nie zdążył dokończyć myśli, gdy nagle nad jego głową pojawiła się ogromna wyverna. Podczepiony pod jej brzuchem kosz otworzył się, zrzucając na niego kilkadziesiąt kilogramów ostrych kamieni.

Constantin zasiadł w siodle na grzbiecie wyverny i spojrzał na niezadowoloną minę stojącego nieopodal Mantyliusa. Doradcy nie podobało się, że monarcha niepotrzebnie ryzykuje życie, osobiście uczestnicząc w bitwie. Ale on nie urodził się Agitarem, nie wiedział, jak to jest być przeznaczonym do podbojów. Jak Constantin mógłby się zapisać w historii jako największy zdobywca w historii Valeny, jeśli by nie przewodził swoim armiom w walce?

Cóż, taki był przynajmniej oficjalny powód jego decyzji o dołączeniu do bitwy. Nieoficjalnie władca Kadras poczuł się dotknięty uwagami Gustawa Gustona, który podczas negocjacji pokojowych zarzucał mu chowanie się za plecami wojskowych podczas inwazji na Zelarię. Nie był przecież tchórzem i dzisiaj to udowodni. Poza tym, i prawdopodobnie była to motywacja silniejsza niż pozostałe, pragnął ponownie poczuć bliskość śmierci i ryzyko związane z narażaniem życia, jak wtedy, gdy zamordował ojca lub kiedy niemal zginął w zamachu zorganizowanym przez Baszira.

— Wszyscy gotowi? — zapytał, rozglądając się po załogach kilkunastu gadów zebranych na przyleśnym polu. Dostrzegłszy prawe ręce jeźdźców uniesione w górę, zakomenderował: — Do boju. Za mną!

Objuczone ciężkim ładunkiem stworzenia zatrzepotały masywnymi skrzydłami i powoli oderwały się od ziemi. Nabrawszy wysokości, poleciały na północ, w kierunku toczącej się trzy kilometry dalej bitwy.

Z powodu gęsto rosnących drzew Constantin nie zdawał sobie sprawy z przebiegu bitwy, po docierających do niego krzykach mężczyzn i szczęku stali wiedział jedynie, że się zaczęła. Nie miał pewności, czy jego atak nastąpi w najodpowiedniejszym dla jego wojsk momencie, ale był przekonany, iż zrzucenie na głowy Brannejczyków setek kilogramów ciężkich, ostrych kamieni przybliży go do zwycięstwa.

Lecieli już blisko pięć minut, gdy w ciasnych szparach między koronami drzew dostrzegł zielone mundury swoich żołnierzy. Wkrótce zauważył również niebiesko-czarno-zielone stroje Brannejczyków i nakazał oddziałowi zwolnić. „Najlepiej będzie zrzucić ładunek tuż za ich pierwsze szeregi — pomyślał, szukając wzrokiem większych przerw między drzewami. — A to co?”. Podlotał ku słabiej zarośniętemu pagórkowi wyrastającemu niedaleko linii frontu. „No, no, kto by się spodziewał? Tłuszcioch osobiście dowodzi swoją armią”. Nie namyślając się wiele, zbliżył się nad odsłonięty kawałek lasu.

— Najjaśniejszy panie, w górze — próbował ostrzegać swojego króla jakiś brannejcki żołnierz, ale Nidas stał jak zamrożony, spoglądając przed siebie.

Constantin ustawił się nad celem. W kierunku jego wyverny poleciało kilka bełtów, nie wyrządziły jednak zwierzęciu żadnej szkody. Król Kadras pociągnął za sznur otwierający dno podwieszonych pod wierzchołkiem koszy. Kilkadziesiąt kilogramów ciosanych skał spadło na jego szwagra i otaczającą go eskortę. Dwie lecące za Constantinem załogi również pozbyły się swoich pocisków, miażdżąc głowy i ramiona stojących pod nimi przeciwników.

Wtem dwa bełty przeleciały niecałe pół metra od władcy Kadras. Monarcha się nie zląkł; przeciwnie, zaczynał się nakręcać. Krew wypływająca z ran brannejckich żołnierzy, krzyki bólu cierpiących, szczęk stali i bojowe okrzyki jego wojskowych sprawiły, iż poczuł, że żyje. Opanowało go dzikie podniecenie. Nie lubił przyglądać się torturom bezbronnych, ale zabić walczącego przeciwnika to zupełnie co innego.

— Naprzód! — zakrzyknął do lecących za nim podkomendnych.

Poprowadził ich nad kolejnymi szeregami obrońców. Załogi jedna po drugiej bombardowały Brannejczyków ciężkimi kamieniami. Drzewa zasłaniały im widok, celność trafień potwierdzali słuchając dobiegających z dołu krzyków. Pozbywszy się wszystkich ładunków, oddział zaczął zawracać. Wtedy to Constantin dostrzegł między jodłami znajomą sylwetkę. „Niemożliwe” — pomyślał. Nakazał siedzącemu przed nim żołnierzowi zbliżyć się do jadącej konno ciemnowłosej postaci. Gdy zobaczył ją w kolejnej szparze między drzewami, miał już pewność, kim była. „Co ta idiotka tu robi?”

Felicia spojrzała na unoszącą się nad wierzchołkami jodeł i sosen wyvernę. Nie miała czasu przyglądać się jej załodze. Pospieszyła jeszcze pędzącego galopem konia i rozwinęła

trzymaną w ręku białą chustę. Zbliżywszy się do tylnych szeregów brannejskiej armii, zaczęła wydawać polecenia:

— Talmurczycy nas zdradzili! Zaprzestańcie walki!

Jadący za nią Bantas ledwo dotrzymywał jej kroku, ale powtarzał jej rozkazy.

Córka Meridiusa musiała zwolnić, gdy dotarła do zabitych i rannych. Ostrożnie wyminęła leżących na ziemi żołnierzy i walające się wszędzie kamienie i najszybciej jak mogła skierowała się ku pierwszym szeregom brannejskiego wojska. Cały czas miała świadomość, że nad jej głową unosi się potężny gad z kadryjską załogą. Odnalazłszy wzrokiem pagórek z wbity w niego flagą Branne, zsiadła z wierzchowca i zaczęła się po nim wspinać, machając białą chustą i nakazując zakończenie bitwy.

Na wzgórzu roіło się od żołnierzy obu stron. Obrońcy starali się nie dopuścić napastników w pobliże flagi i środka wzniesienia. Felicia nie potrafiła się przecisnąć między napierającymi i pokrzykującymi wojakami. Dopiero gdy dołączył do niej Bantas, jakoś przedostali się głębiej w chaotyczny kocioł walczących mężczyzn. Coraz więcej Brannejczyków dostrzegało swoją królową i zaprzestawało walki. Widząc poddających się przeciwników, większość Kadryjczyków również zaniechała ataków. Większość, ale nie ci atakujący pagórek. Im powierzono najważniejszą misję wyeliminowania brannejskiego dowódcy i zamierzali ją wykonać.

Byli już bardzo blisko flagi, gdy nagle nad wzniesieniem zawisła potężna wyverna. Rozległ się głos Constantina:

— Stać! Stać! Dosyć! Wygraliśmy! Ani kroku dalej, kretyni!

Walka ustała. Żołnierze rozstąpili się, pozwalając wyładować swojemu królowi. Bantas i Felicia dotarli na środek wzgórza. Władczyni Branne doskoczyła do leżącego na ziemi męża.

Jego zbroja była zmiażdżona na ramionach, spod hełmu wypływała strużka krwi, a nienaturalnie wygięta lewa ręka chowała się pod kawałkiem skały. Monarcha nie dawał znaku życia.